

POWIEŚĆ

NEW YORK TIMES  
BESTSELLING AUTHORS

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

# SUSAN WIGGS

*Droga nad jezioro*

KRONIKI ZNAD JEZIORA

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).

**Susan Wiggs**

# **Droga nad jezioro**

Przełożyła

Małgorzata Borkowska

# CZEŚĆ PIERWSZA

*Luty*

## Efekt jezior

Każdej zimy, gdy nad Amerykę Północną nadciąga zimne arktyczne powietrze, w okolicy jezior tworzą się nawałnice śnieżne. Zawieje te, znane jako efekt jezior, przynoszą intensywne opady na stosunkowo niewielkim obszarze. Często bywa tak, że w jednym miejscu szaleje burza śnieżna, a już w niewielkiej odległości utrzymuje się czyste, błękitne niebo.

# ROZDZIAŁ PIERWSZY

*Avalon, hrabstwo Ulster, stan Nowy Jork*

Wszystkie stacje w samochodowym radiu Noaha Shepherdza bezustannie nadawały ostrzeżenia. Państwowa Służba Meteorologiczna zapowiadała śnieg, oblodzenie, wiatr i ograniczoną widoczność podczas zamieci. Władze apelowały do obywateli, by pozostali w domach i nie wyjeżdżali na drogi, po których służby ratownicze i tak poruszały się z trudem. Lotnisko zamknięto już wiele godzin temu. Nawet najcięższe pługi miały trudności z przejazdem szosą. Tylko szaleniec lub głupiec opuszczałby w taką pogodę przytulny dom.

Czy raczej szaleniec, głupiec i weterynarz. Noah żałował, że wycieraczek nie da się przełączyć na szybszy bieg. Nawiewany wiatrem śnieg sypał mocno i gęsto, tworząc jednolitą białą ścianę.

Powinien był przyjąć propozycję Osmondów i po odebraniu porodu źrebaka zostać u nich na noc. Mógłby poczekać, aż się przejaśni, a drogi zostaną oczyszczone, i dopiero wówczas wrócić do oddalonego o wiele kilometrów domu i sąsiadującej z nim kliniki. Z drugiej strony jednak z komunikatów wynikało, że śnieżycy potrwa jeszcze kilka dobrych dni. Tymczasem w klinice miał należącego do Palmquistów starego psa rasy beagle, kota, który wracał do zdrowia po operacji kręgosłupa, a także własne zwierzęta, wśród których był porzucony szczeniak. Mógł co prawda zadzwonić do Gayle, swojej sąsiadki, i poprosić, żeby zajrzała do zwierzątek, ale wolał tego uniknąć. Jej mąż odbywał służbę za granicą, w domu było troje dzieci, więc i bez wędrowek do kliniki miała wystarczająco dużo na głowie.

Pochylił się nad kierownicą i mrużąc oczy, wpatrywał się w drogę przed sobą. W światłach furgonetki płatki śniegu, niczym filmowe efekty specjalne, wydawały się lecieć prosto na niego. Przyszły mu do głowy „Gwiezdne Wojny”, gdzie statek kosmiczny Sokół Millennium pędził z szybkością warp. Ledwie o tym pomyślał, a już gwizdał motyw przewodni z filmu. Znudzony powolną jazdą, zaczął sobie wyobrazać, że przednia szyba to okno na odległą galaktykę. On był Hanem Solo, a płatki śniegu to gwiazdy. Wydał rozkaz drugiemu pilotowi, który ożywił się, słysząc głos swojego pana.

– Przygotuj się, Chewie. Zwiększymy prędkość, jasne?

Rudy, kundel, który siedział na fotelu pasażera, zaczął ziajać w odpowiedzi, zaparowując dokładnie szybę.

Ostatnia dziewczyna Noaha, Daphne, zarzucała mu, że zachowuje się jak wieczny chłopczyk. Na co Noah, który nie miał za grosz taktu, zasugerował pół żartem, pół serio, że mogą wyprodukować kilkoro własnych dzieci, to wreszcie będzie miał się z kim bawić.

Wtedy widział Daphne po raz ostatni.

Nie ma co! Miał wyjątkowy talent do postępowania z kobietami.

– Generale Kenobi, detektor termiczny namierzył obiekt. – Wyobraził sobie niewolnicę z innej

galaktyki ubraną w bikini z drucianej siatki. Gdyby tak mogli przysłać mu kogoś takiego z kosmosu...

Zmienił głos na baryton z nader kiepskim angielskim akcentem:

– Ufam, że znajdziesz to, czego szukasz. I... O cholera! – Na drodze tuż przed nim pojawił się jakiś cień. Gwałtownie skręcił i zdjął nogę z gazu. Pikapem zarzuciło. Rudy rozpaczliwie usiłował utrzymać się na fotelu. Na środku drogi stała wielkooka łania. Przez grubą zimową sierść można było policzyć jej zębra.

Nacisnął klakson. Łania zerwała się do biegu, przeskoczyła rów i zniknęła w ciemnościach.

Dom był tuż-tuż, choć nic tego nie potwierdzało. Ogromne zasy zakryły słupki, na których zawieszono skrzynki pocztowe, jednak przeczucie mówiło mu, że już się zbliża. Nigdy, poza nauką w college'u i studiami weterynaryjnymi na Uniwersytecie Cornella, nie mieszkał nigdzie indziej.

Czuł, że już dojechał do Wierzbowego Jeziora, które leżało po lewej stronie drogi, ale nie mógł go dojrzeć. To było najpiękniejsze jezioro w całym hrabstwie. Prawdziwe cudo otoczone dzikimi górami Catskill. W tym jednak momencie kryło się za śnieżną kurtyną. Dom Noaha znajdował się trochę wyżej na wzgórzu, po drugiej stronie drogi. Nad samym jeziorem stało kilka starych letnich chat, w których zimą nikt nie mieszkał.

– Generale, będą nam potrzebne posiłki – oznajmił. Miał wrażenie, że w uszach rozbrzmiewa mu muzyka z filmu, nadal więc pogwizdywał do wtóru. – Proszę niezwłocznie kogoś przysłać!

I w tym właśnie momencie wśród śnieżnej zamieci pojawił się czerwony błysk. Melodia zamarła Noahowi na wargach. Zdjął nogę z gazu, wpatrując się w szkarłatną poświatę, aż wreszcie połapał się, że to tylne światła samochodu, który najwyraźniej ugrzązł w zaspie.

Zatrzymał pikap na środku szosy. Silnik tamtego samochodu wciąż pracował. Z rury wydechowej, która ustawiona była pod dziwnym kątem, wydobywał się dym. Jeden z przednich reflektorów zakopany był w zaspie. Drugi oświetlał potraconego przez auto jelenia.

– Zostań – polecił Rudy'emu i chwycił torbę. Miał tam środki uspokajające, których powinno wystarczyć, żeby uspić jelenia. Zabrał też latarkę, a na głowę włożył umocowaną na elastycznej opasce czółówkę.

Włączył światła awaryjne i ruszył przez zacinający śnieg w stronę zakopanego auta. W środku siedziała jedna osoba, kobieta.

– Przyjechał pan, dzięki Bogu – powiedziała, wysiadając z samochodu.

Z całą pewnością nie była odpowiednio ubrana na taką pogodę. Elegancki płaszcz i cienkie skórzane botki na wysokich obcasach. Bez czapki. I rękawiczek. Rozwiewane przez wiatr jasne włosy zasłaniały twarz.

– Bardzo szybko pan tu dotarł! – zawołała.

Domyślił się, że bierze go za pracownika pomocy drogowej albo policjanta z drogówki, ale nie było czasu na wyjaśnienia.

Chwyciła go za rękaw i chwiejąc się na wysokich obcasach, pociągnęła w stronę maski samochodu.

– Proszę... – powiedziała błagalnie. – Nie mogę uwierzyć, że to się wydarzyło. Myśli pan, że uda się go uratować?

Skierował światło latarki na jelenia. To nie była łania, którą wcześniej widział na drodze, lecz młody koziół ze złamanym rogiem. Z drugiej strony wyrastały trzy odnogi. Oczy miał szkliste i ciężko dyszał. To był przerażony oddech zwierzęcia w szoku. Noah nie zauważył żadnych krwawiących ran, ale przecież często to obrażenia wewnętrzne bywają śmiertelne.

Cholera. Nie cierpiał usypiać zwierząt. Nienawidził.

– Bardzo pana proszę! – odezwała się znów nieznajoma. – Musi go pan ocalić.

– Proszę to wziąć. – Podał jej latarkę i ostrożnie pochylił się nad zwierzęciem. – Spokojnie, kolego. – Zdjął rękawice i wcisnął je do kieszeni parki. Szorstka sierść ogrzewała mu palce, gdy obmacywał brzuch jelenia. Nie wyczuł żadnej wilgoci, żadnego nienaturalnego zmiękczenia czy ciepła. Może...

Raptem rogacz zamłócił nogami, próbując znaleźć oparcie w głębokim, miękkim śniegu. Noah cofnął się, gdy dostał silny cios w ramię. Zwierzę gwałtownie podniosło się na nogi i przeskoczyło przez zaspę.

– Nie zabiłam go – powiedziała nieznajoma. – Ocalił go pan.

Wcale nie, pomyślał, chociaż tak to musiało wyglądać, jakby zwierzę ożyło pod jego dotknięciem. Nie powiedział tego, ale mogło się przecież i tak zdarzyć, że jelen padnie gdzieś w lesie.

Wyłączył lampę czołową i wyprostował się.

– Gdzie pani jedzie? – spytał, wciągając rękawice.

– Ulica Nabrzeżna 1247. Dom Wilsonów. Wie pan, gdzie to jest?

Zmrużył oczy i schylił się po torbę. Kobieta wypadła z szosy tuż przy zjeździe do jego domu.

– Wystarczy przejechać jeszcze kilkaset metrów w kierunku jeziora. Mogę panią podwieźć.

– Dziękuję. – Zamrugła, żeby pozbyć się z rzęs płatków śniegu. Dopiero teraz zobaczył jej twarz... niepokojąco ładną, chociaż pobladłą i zmęczoną. – Wezmę swoje rzeczy. – Oddała mu latarkę, po czym zabrała z auta torebkę i dużą torbę. Miała też walizkę na kółkach z mnóstwem przywieszek. W świetle padającym z wnętrza samochodu widział napisy w obcym języku. Gravenhage? Nie miał pojęcia, co to może być. I coś, co wyglądało na urzędową pieczęć, jakby z Departamentu Stanu czy czegoś podobnego. No, no... Tajemnicza i bywała w świecie dama, pomyślał.

Nieznajoma wyłączyła silnik i światła.

– Z samochodem chyba nie da się nic zrobić – powiedziała.

– W każdym razie nie dzisiaj.

– W bagażniku mam jeszcze kilka toreb. Myśli pan, że mogę je tu bezpiecznie zostawić?

– To chyba nie jest najlepsza pogoda dla złodziei. – Ruszył przodem w stronę pikapu. – Idź do tyłu – polecił Rudy'emu, który przeskoczył na składane siedzenie za fotelem pasażera.

Kobieta przycisnęła torebkę do piersi, przyglądając mu się z wahaniem. Mimo że padające z kabiny światło było przytłumione, zauważył, że oczy ma niebieskie. Teraz już najwyraźniej nie widziała w nim Zaklinacza Jeleni. Spoglądała na niego nieufnie, jakby był seryjnym mordercą.

– Patrzy pani na mnie jak na Kubę Rozpruwacza – objawił swoje impresje na temat mowy jej oczu.

– Skąd mam wiedzieć, czy nim pan nie jest?

– Noah Shepherd. Mieszkam tutaj. – Wskazał ręką. – To podjazd do mojego domu. – Na drodze, wzdłuż której stały ośnieżone sosny, potworzyły się zasy wysokie do kolan, a może i do pasa. Z okna migotało światło, a lampa na ganku utworzyła wokół drzwi niewyraźną żółtą poświatę. Droga do kliniki, psich bud i stajni znajdowała się bardziej na lewo i tamtejsze latarnie były ledwie widoczne.

Wciąż niezdecydowana przygryzła dolną wargę.

– Nawet maniakałny zabójca musi przecież gdzieś mieszkać.

– Zgadza się. Tylko skąd ja mam wiedzieć, że pani nie jest wygłodniałą wampirzycą?

– Nie może pan tego wiedzieć. – Wsiadła do furgonetki.

Obchodząc samochód, Noah zastanawiał się, czy nie działała tu jakaś siła nadprzyrodzona. Na ogół nie zastanawiał się nad takimi sprawami, lecz przecież właśnie marzył, żeby kogoś spotkać. Czyżby wszechświat go wysłuchał?

Tylko tego nie schrzań, upominał się w duchu, siadając za kierownicą. I nie próbuj niczego przyspieszać. Nic o niej przecież nie wiedział. Mogła się z kimś spotykać, mieć męża albo też być lesbijką lub osobą chorą psychicznie...

– O cholera! – zaklął, nim zdołał się powstrzymać. – Czemu pani nie powiedziała, że jest ranna? – Chwycił latarkę i skierował światło na jej nogę. Lepka czerwona plama ciągnęła się aż do rozdartych na kolanie spodni.

Z jej gardła wydobył się dziwny rzeżący dźwięk. Był tak przerażający, że Noah się wzdrygnął. Kobieta zaczęła dygotać, jej oddech stał się krótki i urywany. Powiedziała coś w obcym języku, który skojarzył się Noahowi z jakimś niemieckim dialektem. Kiedy podniosła wzrok, w jej oczach malował się paniczny strach.

To tyle, jeśli mowa o spażaniu sprawy, pomyślał.

– Hej, nie ma powodu do obaw – rzucił uspokajająco, ale do niej nic nie docierało. Była obezwładniona paniką i nagle... odpłynęła. Zapadła się w fotelu, głowa przechyliła się na jedną stronę. – Hej – powtórzył głośniejszym głosem. Cholera, czyżby zemdląca? Ściągnął rękawiczkę i położył palce na tętnicy szyjnej, próbując wyczuć puls. Dzięki Bogu, było tętno. – No, dziewczyno! – ponaglił, obejmując dłonią jej policzek. – Otrząśnij się.

Słyszał, jak Rudy popiskuje i wierci się na tylnym siedzeniu. Pewnie wyczuł strach i krew nieznanego. Nagle zamarł, odrzucił łeb do tyłu i zawył.

Będę miał nauczkę, skarcił się Noah w myśli. Powinien być bardziej precyzyjny, kiedy prosił gwiazdy, żeby mu kogoś przysłały. Mógłby na przykład powiedzieć: „Ześlijcie mi gorącą kelnereczkę”. Tymczasem trafiła mu się jakaś kretynka, która mdleje na widok własnej krwi.

Utratę przytomności mogły wywołać rana, strach i stres. U zwierząt tak działał mechanizm obronny. A u ludzi... Nie był pewien, co mogło spowodować taką reakcję. Jednak bez względu na wszystko,



powinien zmierzyć jej ciśnienie i opatrzyć ranę.

Ostrożnie wjechał na podjazd. Minał dom i skierował samochód w stronę kliniki. Kiedyś była tu rodzinna farma mleczarska, a w tym budynku mieściły się biura. Gdy przed trzema laty podjął tu praktykę, przerobił go na klinikę dla zwierząt.

Wysiadł z samochodu i podszedł do tylnych drzwi, żeby wypuścić Rudy'ego, jednak pies zwinnie przeskoczył przedni fotel i pognął przez ośnieżone pole. Najwidoczniej chciał jak najprędzej oddalić się od nieznajomej.

Noah okrążył samochód.

– Proszę pani! Słyszysz mnie pani?

Kobieta nadal nie reagowała. Niezgrabnie wyciągnął ją z kabiny, zataczając się w głębokim śniegu. Nie była duża, lecz bezwładne ciało ciążyło bardzo, gdy niósł ją do kliniki. Otworzył drzwi ramieniem, wyłączył alarm i przez ciemną recepcję przeszedł do pokoju badań. Położył nieznajomą na stalowym stole, który rozsunął na jej długość.

– No już, wracaj. – Potrzasał ją jedną ręką, a drugą wyciągał maskę tlenową. Miała stożkowaty kształt dostosowany do zwierzęcego pyska, ale gdy mocno przycisnąć, nada się i dla człowieka.

Kobieta otworzyła oczy. Nagle całkiem przytomna zaczęła się wrywać i krzyczeć. Noah cofnął się, podnosząc ręce w geście poddania.

– Proszę się uspokoić. – Delikatnie ujął jej nadgarstek, zamierzając sprawdzić puls.

Błąd. Szarpnęła się do tyłu, jakby ją oparzył, po czym z trudem usiadła. Patrzyła na niego jak na szaleńca z siekierą.

– Proszę pani. – Stał tuż przed nią, na wypadek gdyby miała znowu zemdleć. – Wszystko będzie dobrze, naprawdę. Proszę na mnie spojrzeć.

W końcu słowa Noaha do niej dotarły. Jej przerażony wzrok zaczynał trochę łagodnieć. Odetchnęła głęboko, starając się odzyskać kontrolę nad sobą.

– Proszę się uspokoić. – Powstrzymał pragnienie, by wziąć ją za rękę. – Wszystko będzie dobrze – powtórzył łagodnie. – Jesteśmy w mojej klinice. Jestem... Mam kwalifikacje. – Lepiej nie mówić, że jest weterynarzem. – Muszę panią zbadać, rozumie pani?

Znów zaczęła drżeć. Twarz miała bladą jak ściana.

– Tak – powiedziała. – Tak, dziękuję... Nie wiem, co się ze mną dzieje.

Co ty nie powiesz? – pomyślał.

– Wydaje mi się, że zemdląca pani na widok własnej krwi. Doznała pani jakiegoś urazu, więc będę musiał zadać pani kilka pytań i zmierzyć ciśnienie.

Teraz już miał pewność, że rozumiała jego słowa. Postanowił zaryzykować, ujął ją pod brodę i zbadał źrenice. Aksamitnie gładka skóra nieznajomej była zimna i wilgotna od potu. Czuł, z jakim wysiłkiem próbowała opanować dreszcze.

– Przepraszam – powiedziała drżącym głosem. – Zachowałam się wprost niewybaczalnie. –

Wyprostowała ramiona i uniosła głowę. Odzyskała pewność siebie i nagle całkiem się odmieniła. Zniknęła przerażona ofiara, a na jej miejsce pojawiła się opanowana, choć wciąż trochę zszokowana młoda kobieta.

– Nie ma powodu do przeprosin. Wielu ludzi wpada w panikę, gdy się zrania i krwawią.

– Co tu się znajduje?

– Moja klinika.

– Rozbiłam samochód przed pana kliniką? Dobrze to sobie wymyśliłam. – Uśmiechnęła się blado.

– Czy zdarzało się to pani wcześniej? Mam na myśli omdlenia?

– Nie. Dobry Boże, nigdy.

– Czy zanim to się stało, odczuwała pani ból głowy, ból w piersi? A może pojawiły się kłopoty z oddychaniem?

– Nie. Czułam się dobrze, aż nagle... Nie pamiętam.

Zdjął kurtkę i w tym momencie przypomniał sobie, że ubranie ma wybrudzone krwią. Odwrócił się pośpiesznie, żeby tego nie zauważyła, ściągnął koszulę, wcisnął ją do kosza z brudnymi rzeczami i sięgnął po czysty fartuch.

Pacjentka zachowywała się teraz wyjątkowo cicho. Kiedy się odwrócił, spostrzegł, że wpatruje się w jego nagi tors. Jej usta – jak na wariatkę miała prześliczne usta – ułożyły się w idealne „O”.

– Muszę włożyć czystą koszulę. – Na studiach nie uprzedzano ich, żeby nie rozbierali się w obecności chorych, bo też ich pacjentów rzadko kiedy to obchodziło. – Przepraszam. – Zawiesił na szyi stetoskop, licząc na to, że to ją uspokoi. – Przysięgam, że chcę tylko pani pomóc.

Nacisnął stopą pedał i obniżył stół.

– Wciąż pani krwawi... Nie, proszę nie patrzeć. – Wyszorował ręce nad zlewem, wyjął z pojemnika bezlateksowe rękawiczki i wkładając je, przyglądał się ranie. – Proszę przesunąć się do tyłu, żeby noga była wyprostowana.

Ku jego zdumieniu, posłuchała go bez protestu. Oparła się na rękach i rozejrzała po gabinecie, zatrzymując wzrok na wykresach wzrostu psów i kalendarzu od firmy produkującej leki dla zwierząt.

– Nie jest pan lekarzem, prawda?

– To moje ulubione pytanie. Widzi pani, gdybym był lekarzem, znałbym anatomię i choroby tylko jednego gatunku, a nie sześciu. I miałbym zaledwie jedną specjalność, a nie dziewięć.

– Pewnie często je pan słyszy.

– Na tyle często, żeby mnie denerwowało. – Cofnął się o krok, unosząc osłonięte rękawiczkami dłonie. – Nie muszę tego robić.

– Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, wolałabym, żeby pan kontynuował.

To tyle, jeśli chodzi o zgrywanie niedostępnego.

– Będę musiał panią zbadać i sprawdzić, gdzie jeszcze się pani zraniła.

– Tylko w kolano.

Nie zamierzał nalegać.

– No dobrze. Wobec tego na razie zajmę się tylko kolaniem, ale jeśli pojawią się jakieś inne objawy, na przykład podwójne widzenie, zawroty głowy, cokolwiek, musi mi pani o tym powiedzieć. – Ciśnienie miała w normie, a to był dobry znak.

Wybrał nożyce do cięcia bandaża i zaczął przecinać spodnie z ciemnej wełny. Cienka, kosztownie wyglądająca skóra botków była przesiąknięta krwią.

Skaleczenie miało łukowaty kształt. Musiała rozciąć nogę o coś pod deską rozdzielczą.

– Tuż nad kolaniem jest głęboka rana cięta. Trzeba będzie założyć szwy.

– Może pan to zrobić?

– Nie jestem chirurgiem plastycznym. Z całą pewnością po moim szyciu zostanie blizna.

– W niczym nie będzie mi to przeszkadzać.

– Dobrze więc. Dam pani znieczulenie. – Zastanawiał się nad podaniem jej środka nasennego, tyle że nie był pewien, jaką dawkę zastosować. Tak na oko ważyła pewnie tyle, co przeciętny rottweiler, więc osiemdziesiąt miligramów powinno wystarczyć. Choć może i nie... Lepsze chyba będzie znieczulenie miejscowe. Kiedy robił zastrzyk, nawet się nie skrzywiła. – Za jakieś dwie minuty znieczulenie zacznie działać.

Zmienił rękawiczki i zabrał się do oczyszczania rany. Do szycia wybrał nici chirurgiczne numer trzy i tnącą igłę. Wiele zwierząt miało skórę delikatniejszą niż ludzie, a to był standardowy zestaw do zakładania szwów koniom.

Założył okulary powiększające, ustawił lampę i zabrał się do szycia. Poczuł, że pacjentka znów zaczęła drżeć. Może powinien podjąć jakąś błahą rozmowę, by ją uspokoić? Za wszelką cenę musiał sprawić, żeby leżała nieruchomo. Jego pacjentom zwykle wystarczało współczujące cmokanie.

– Nie usłyszałem, jak się pani nazywa – zaczął.

– Sophie. Sophie Bellamy.

– Jest pani może krewną Bellamych, którzy mają dom letniskowy na północnym brzegu jeziora?

– W pewnym sensie. Byłam żoną Grega Bellamy'ego, ale jesteśmy po rozwodzie.

Jednak wciąż używa jego nazwiska, pomyślał.

– W Avalonie mam dwoje dzieci – dodała.

Pewnie dlatego pozostała przy nazwisku męża. Nie rozumiał tylko, czemu dzieci nie mieszkają razem z nią. Lecz to nie jego sprawa.

– Przyjechała pani w odwiedziny? Czy może wraca pani z podróży?

Zawahala się, jakby zastanawiała się nad odpowiedzią. Zdziwiło go to, bo przecież pytanie było całkiem proste.

– Dziś po południu wylądowałam w Nowym Jorku – powiedziała w końcu. – Z powodu pogody nie było żadnego połączenia z lotniskiem Kingston-Ulster, więc wynajęłam samochód i ruszyłam w drogę. Pewnie powinnam wsiąść do pociągu, ale bardzo chciałam znaleźć się tu jak najszybciej.

Nie spytał, skąd przyleciała na lotnisko Kennedy'ego, spodziewając się, że zaraz sama to powie. Kiedy nie dodała nic więcej, skupił się na pracy.

– I zatrzyma się pani u Wilsonów?

– Nie całkiem. Skorzystam z ich letniego domku. Znamy się z Bertie Wilson od czasu studiów prawniczych.

– Och. – Znieruchomiał. – Jest pani prawnikiem?

– Tak.

– Nie mogła mi pani powiedzieć tego, zanim założyłem te końskie szwy?

– Czy wówczas potraktowałby mnie pan inaczej?

– Nie wiem – przyznał szczerze. – Możliwe, że w ogóle nie zająłbym się panią, a już na pewno poprosiłbym o podpisanie zrzeczenia się prawa do odszkodowania.

– Dobrego prawnika to by nie powstrzymało – rzuciła spontanicznie, zaraz jednak dodała: – Ale nie ma pan powodów do obaw. Uratował mnie pan, powstrzymał krwawienie. Nigdy bym pana nie pozwała.

– Dobrze wiedzieć. – Zdjął z jej nogi chustę chirurgiczną i jeszcze raz przemył ranę. – Choć może powinna pani najpierw na to spojrzeć. Nie wygląda zbyt ładnie.

Oparła się na rękach i usiadła. Na jasnej skórze, która została pomalowana środkiem dezynfekującym na bursztynowo, szwy tworzyły cienki czarny łuk.

– Powstrzymał pan krwawienie – powtórzyła.

– Na to wygląda. – Przykrył ranę gazikiem. – Teraz zabandażuję nogę. Musi pani uważać. Nie należy ruszać szwów ani ich naciągać, a także w miarę możliwości proszę nie moczyć rany.

– Myślę, że sobie poradzę. – Siedziała nieruchomo, czekając, aż skończy zakładać bandaże. – Dziękuję. Naprawdę nie wiem, jak mam panu dziękować.

Przytrzymał ją za ręce, gdy niepewnie zsuwała się ze stołu. Kiedy się zachwiała, otoczył ją ramieniem.

– Ostrożnie. Dziś powinna pani jak najczęściej trzymać nogę w górze.

– Dobrze.

Ze zdumieniem spostrzegł, że objęcie tej kobiety sprawiło mu przyjemność. Jedwabiste włosy musnęły mu brodę. Pachniała świeżym zimowym wiatrem, a ciało było miękkie i lekkie.

Wydawało się, że ona również była zaskoczona. Poczul, że wstrząsnął nią dreszcz. Nie potrafił jednak powiedzieć, co go wywołało. Strach? A może ulga? Po chwili łagodnie wysunęła się z jego objęć.

Przeszli do recepcji.

– Jeszcze raz panu dziękuję – powiedziała Sophie. – Nie powiedział mi pan jeszcze, ile jestem winna.

– Chyba pani żartuje?

– W żadnym razie. Wykonał pan profesjonalną usługę. Ma pan prawo wziąć za nią zapłatę.

– Jasne. – Teraz mówiła jak prawnik. Gdyby wykonał taki zabieg na dobermanie, zainkasowałby kilkaset dolarów. – To na koszt firmy. Powinien panią jak najszybciej obejrzeć lekarz.

– Cóż, zrobił pan więcej, niż pan musiał. Mój bohater.

Jej głos wciąż trochę drżał z niepokoju. Podejrzewał, że to właśnie dlatego stara się nadrabiać miną. A może to była ironia?

– Jak dotąd, nikt mnie tak nie nazywał.

– Jestem pewna, że niektórzy pacjenci zrobiliby to, gdyby umieli mówić. – Odwróciła wzrok, a jej policzki zaróżowiły się lekko. Była naprawdę bardzo atrakcyjna. – No dobrze... Powinnam już jechać do domu.

– To niemożliwe. W każdym razie nie dzisiaj.

– Ale...

– Drogi są jeszcze bardziej zasypane. Do Wilsonów prowadzi podjazd, ale teraz pokrywa go półmetrowa warstwa śniegu, a w domu jest z pewnością lodowato. Zostanie pani tutaj.

Rozejrzała się po klinice.

– A więc umieści mnie pan w klatce?

– Tuż obok kota pani Levinson. – Wskazał pokrytą skajem ławkę w poczekalni. – Niech pani tu usiądzie i położy nogę wysoko. Zajrzę do swoich pacjentów, a potem przejdziemy do domu. Nie jest to co prawda Ritz, ale dostanie pani coś do zjedzenia i miejsce do spania.

– Już i tak przysporzyłam panu zbyt wielu kłopotów...

– Więc jeszcze trochę nie robi wielkiej różnicy.

– Ale...

– To naprawdę żaden kłopot. – Przeszedł do tylnej części kliniki, oświetlonej niebieskawymi lampami nocnymi. Kotka Toby była może zbyt ożywiona, ale wyglądało na to, że czuje się dobrze. W klatce miała wystarczająco dużo wody. Brutus, pies rasy beagle, spał mocno i donośnie chrapał. Druga kotka, Clementine, siedziała i systematycznie wylizywała futerko.

Noah odczepił prawie opróżnioną butelkę z wodą.

– Widziałaś ją, Clem? – szepnął. – Możesz uwierzyć w moje szczęście? Wygrałem dziewczynę, która utknęła w rowie! – Kot zmrużył oczy, po czym uniósł przednią łapkę i zaczął ją lizać. – Doskonale, też ci przybijam piątkę. – Jasne, że to wypadek przyniósł mu Sophie. Możliwe jednak, że szczęśliwy los też miał w tym swój udział. Najwspanialsza kobieta z tej galaktyki, kobieta, która nazwała go swoim bohaterem, zamieszkała po przeciwnej stronie drogi.

Ale fart! Była piękna i sama zwróciła mu uwagę, że jest wolna. W dodatku miała dzieci, a on przecież ubóstwiał dzieci. Zawsze chciał mieć ich pełen dom.

Myjąc ręce przy zlewie, nakazywał sobie, żeby z niczym się nie wyrwać, co niestety miał w zwyczaju. Los podarował mu wspaniałą szansę. Teraz od niego zależy, jak ją wykorzysta.

Nigdy wcześniej nie spotkał takiej kobiety jak Sophie Bellamy. Ciekawiło go, kim naprawdę była. Chciał wiedzieć, skąd pochodziła, co przywiodło ją tutaj w środku śnieżycy i czy powinien martwić się tym, że w jej oczach dostrzegł rozpacz.

# CZĘŚĆ DRUGA

*Miesiąc wcześniej*

## Epifania

Epifania to nagłe olśnienie, objawienie lub odrodzenie, często spowodowane wydarzeniem, które odmieniło życie.

Z greckiego „ukazanie się” lub „zjawienie się”. Epifania jest świętem chrześcijańskim, znanym jako święto Objawienia Pańskiego lub Święto Trzech Króli. W wielu krajach obchodzi się je uroczyście podczas uczt i zabaw.

*Gougères – ptysie serowe*

Gougères to lekkie francuskie ptysie serowe. Tradycyjnie podaje się je o tej porze roku z wytrawnym szampanem.

1 szklanka wody

1/2 kostki niesolonego masła pokrojonego w kostkę

1/2 łyżeczki soli

1 szklanka mąki

4 duże jajka

1 1/2 szklanki grubo startego sera gruyère

Nagrzewaj piekarnik do 190°C. Blachę wyłóż papierem do pieczenia. Do garnka wlej wodę, dodaj masło oraz sól. Doprowadź do wrzenia, po czym zmniejsz ogień. Dodaj całą mąkę i ubijaj drewnianą łyżką, aż masa będzie odchodzić od brzegów rondla.

Przełóż masę do miski i wbijaj po jednym jajku. Wkręcaj je do masy przy użyciu elektrycznego miksera. Gdyby ciasto było za gęste, dodaj jeszcze jedno jajko.

Wmieszaj do masy ser i nakładaj ciasto na blachę łyżką, zachowując mniej więcej dwucentymetrowe odstępy. Piecz dwadzieścia pięć minut lub do zrumienienia. Podawaj ciepłe.

# ROZDZIAŁ DRUGI

*Pałac Pokoju*

*Haga, Holandia*

*6 stycznia, Święto Trzech Króli*

Błyszcząca czarna limuzyna podjechała pod ozdobny gotycki budynek, którego masywna sylwetka odcinała się wyraźnie w żółtym świetle przeciwmgielnych reflektorów. Rzęsisty deszcz stukał w dach Citroëna, powodując metaliczny odgłos.

Za kuloodporną szybą Sophie Bellamy po raz ostatni sprawdziła fryzurę i makijaż, po czym zamknęła puderniczkę i wsunęła wieczorową torebkę do schowka w podłokietniku. Środki bezpieczeństwa w pałacu były obecnie tak zastrzone, że wygodniej było tam wchodzić, mając przy sobie wyłącznie identyfikator.

Kiedy zaczynała uczęszczać na różne uroczystości w Pałacu Pokoju, bez torebki czuła się jak bez ubrania, teraz jednak nauczyła się spędzać wieczór bez szminki, grzebienia, kluczy czy telefonu komórkowego.

Tego wieczoru zachowanie wszelkich środków ostrożności było wyjątkowo uzasadnione. Najnowszy werdykt Międzynarodowego Trybunału Karnego w sprawie zbrodni wojennych budził kontrowersje i mógł dać impuls do aktów przemocy. Tej sprawie Sophie poświęciła dwa lata swojego życia.

Limuzyna stanęła za kilkoma innymi samochodami, czekając na swoją kolej. Kiedyś Sophie odczuwała ogromne podniecenie przed uroczystymi wydarzeniami, teraz jednak stały się codziennością. Szoferzy, ochroniarze, stroje od czołowych projektantów, uśmiechnięci dygnitarze, tłumaczenia szeptane do słuchawek – wszystko to było dzisiaj chlebem powszednim.

Goście osłonięci czarnymi parasolami przechodzili do drugiego wejścia. Ich falujące cienie tworzyły srebrzyste odbicia na kamiennej powierzchni dziedzińca. Mówiono jej, że można się spodziewać obecności mediów, na razie jednak dostrzegła tylko jeden wóz transmisyjny, którego przemoczona deszczem załoga rozstawiała sprzęt jakieś trzydzieści metrów od budynku. Mimo że było to epokowe wydarzenie, co więcej, miała w nim wziąć udział sama królowa Beatrycze, uroczystość przejdzie niezauważona. W Ameryce ludzie byli zbyt zajęci najnowszą grą internetową, by zauważyć, że właśnie zmieniła się geopolityczna mapa Afryki.

Poczuła wibrowanie komórki. Jej syn, Max, przysłał SMS-a i zdjęcie. Biała piaszczysta plaża, turkusowe morze i podpis:

*St. Croix jest odlotowe. Tata i Nina już się szykują. Buziaki!*

Wpatrywała się w wiadomość od dwunastoletniego synka. Wiedziała, że to dziś jest ten dzień, choć starała się o tym nie myśleć. Jej eksmaż był na tropikalnej wyspie i właśnie miał poślubić kobietę, która

zajęła zwolnione przez Sophie miejsce. Delikatnie zamknęła telefon i przycisnęła go do piersi, próbując opanować wzburzenie. Bezskutecznie. Nawet dziś było to niemożliwe.

André, jej szofer, włączył światła awaryjne, by zasygnalizować, że będzie wysiadać. Na głowę włożył wełnianą czapkę z daszkiem, która była częścią jego liberii, wyprostował ramiona i odetchnął głęboko. Pochodził z Senegalu i nie był entuzjastą pogody, która panowała w północnej części Europy, szczególnie w styczniu.

Rozległ się pisk opon i dźwięk podobny do wystrzału. Bez chwili wahania Sophie opadła na podłogę, jednocześnie sięgając po telefon samochodowy. Po chwili dało się słyszeć trąbienie klaksonu i głos z megafonu, który po holendersku, francusku i angielsku odwołał alarm.

André opuścił szybę oddzielającą go od części dla pasażerów i powiedział:

– To tylko gaźnik w którymś z aut.

Sophie wyciągnęła puderniczkę i jeszcze raz sprawdziła, czy makijaż i fryzura są w porządku. Przeszła wielogodzinne szkolenie z zakresu radzenia sobie w sytuacjach kryzysowych, miewała też do czynienia z ludźmi uważanymi za najbardziej niebezpiecznych na świecie. Nigdy jednak nie bała się o własną skórę. Zresztą tutaj zastosowano takie środki ostrożności, że ryzyko było minimalne.

André uniósł dłoń w rękawiczce. W ten sposób pytał ją bez słów, czy jest gotowa. Sophie przestała zajmować się swoją urodą i zacisnąwszy w dłoni laminowany identyfikator, skinęła głową.

Drzwi od jej strony otworzyły się i ukazał się czarny parasol, trzymany przez ubranego w liberię pracownika obsługi pałacu.

– *On y va, alors* – powiedziała do André. Czyli: „No to idziemy”.

– *Assurément, madame* – odparł śpiewnym akcentem. – *J'attends*.

To jasne, że będzie czekał, pomyślała. Zawsze tak było. I dzięki za to Bogu. Pod koniec wieczoru będzie w sztok pijana zarówno szampanem, jak i szczęściem po doprowadzeniu sprawy do końca, a gdyby nie André, nie miałyby komu opowiadać, co się wydarzyło. On zaś był świetnym słuchaczem. Podczas krótkiej jazdy z domu do pałacu wyznała mu, jak bardzo tęskni za swoimi dziećmi.

Tak bardzo pragnęłaby, żeby dzisiejszego wieczoru Max i Daisy byli świadkami jej triumfu. Niestety, znajdowali się teraz z ojcem po drugiej stronie oceanu. Być może w tym właśnie momencie jej były mąż brał ślub ze swoją drugą żoną.

Kiedy wysiadała z limuzyny, poślizgnęła się na mokrym bruku i przez jeden koszmarny moment myślała, że upadnie, zaraz jednak poczuła silne ramię, które objęło ją w pasie i pomogło utrzymać równowagę.

– André – powiedziała, z trudem łapiąc oddech. – Właśnie zapobiegłeś katastrofie.

– *Rien du tout, madame* – odparł, wciąż ją podpierając. W blasku światła widziała jego poważną, miłą twarz.

Nagle przyszło jej do głowy, że od bardzo dawna nie znalazła się w objęciach mężczyzny. Natychmiast odepchnęła tę całkiem niewłaściwą myśl, stanęła pewnie na nogach i odsunęła się od André. Zadrzała



z zimna. Długi płaszcz z kaszmiru nie był wystarczająco ciepły. W każdym razie nie przy takiej pogodzie. Zapowiadano śnieg. Schowana pod szerokim parasolem, minęła pośpiesznie wartownię i podeszła do pierwszego posterunku kontrolnego. Pasaż otaczał postument z wiecznym ogniem pokoju, który przed deszczem osłaniał wykuty z metalu daszek. Od portyku, który na dzisiejszą okazję osłonięto płóciennym dachem i wyłożono czerwonym chodnikiem, dzieliło ją jeszcze jakieś dwadzieścia metrów. Kiedy tylko stanęła pod płócienną markizą, pracownik obsługi życzył jej przyjemnego wieczoru i ponownie zanurkował w deszcz, żeby przyprowadzić następnego gościa. Kolejka w stronę wejścia posuwała się bardzo powoli. Trzeba było przejść przez szatnię i następny posterunek. Sophie nie знаła osobiście nikogo ze stojących w kolejce ludzi, ale wielu z nich rozpoznawała: ubranych na czarno dygnitarzy ze swoimi rodzinami, Afrykanów w ceremonialnych strojach, dyplomatów z całego świata. Przybyli tu, żeby uczcić odrodzenie afrykańskiego kraju. Trybunał uwolnił Umoję od przywódcy, którego finansowało skorumpowane i działające poza prawem konsorcjum diamentowe.

Tuż przed Sophie stała rodzina Amerykanów. Mężczyzna w mundurze miał swobodną postawę zawodowego wojskowego. Żona i nastoletnie córki krążyły wokół niego jak satelity. Sophie niewyraźnie pamiętała, że wojskowy jest attaché z Naczelnego Dowództwa NATO w Europie z siedzibą w Belgii.

Żona attacheu przytuliła się do niego, jakby chciała osłonić się przed chłodem. Była pulchna i sprawiała wrażenie bardzo łagodnej. Tak jak Sophie, w uszach miała proste złote kolczyki bez kamieni. Dzisiejszego wieczoru drogie kamienie, a brylanty w szczególności, byłyby przejawem braku taktu.

Amerykańska rodzina najwyraźniej czuła się dobrze i bezpiecznie w swoim małym, czteroosobowym światku. W tym momencie brak dzieci wydawał się Sophie szczególnie bolesny.

Poczuła szczypanie w oczach, gdy na dziedzińcu zaczął wiać przejmująco zimny wiatr. Przy bocznym wejściu do pałacu stała furgonetka firmy Haagsche Voedsel Dienst, S.A. Świetnie, pomyślała Sophie. To była najlepsza firma cateringowa w mieście. Musieli się spóźnić, bo kelnerzy w białych kitlach rozmawiali z sobą nerwowo i w gorączkowym pośpiechu pchali ciężkie wózki w kierunku służbowego wejścia.

Sophie weszła do szatni, drżąc z zimna. Chyba niewiele było równie nieprzyjaznych miejsc jak Haga w czasie zimowych sztormów. Miasto leżało poniżej poziomu morza. Zbudowano je na ziemi wydartej Morzu Północnemu i odgrodzono groblami. Podczas sztormu można było odnieść wrażenie, że przyroda chce odebrać z powrotem to, co do niej należało. Wiatr siekł jak nożem, przenikając aż do kości.

Niechętnie ściągnęła rękawiczki i razem z długim płaszczem oddała szatniarzowi. Wyglądziła suknię i odwracając się do wejścia, spostrzegła, że żona attaché przygląda się jej z mieszaniną zazdrości i podziwu.

Sophie spędziła pół dnia, przygotowując się do tego wieczoru. Włożyła suknię od znanego projektanta i pantofle, które kosztowały więcej niż niejeden mebel. Suknia leżała na niej znakomicie. W college'u pływała na długie dystanse, w czasie studiów wciąż brała udział w zawodach, dzięki czemu miała znakomitą sylwetkę. Blond włosy ściągnięte były do tyłu i spięte w kok.

Uśmiechnęła się do żony wojskowego, myśląc o ironii losu. Nie masz mi czego zazdrościć, miała ochotę powiedzieć. Jesteś ze swoją rodziną, z mężem i dziećmi. Czego ci jeszcze trzeba?

Przeszła przez wykrywacz metalu, a potem ruszyła samotnie otoczonym kolumnadą pasażem w stronę sali balowej. W kłębiącym się tłumie ludzi czekała z wejściem, aż zostanie zaanonsowana.

Staną na palcach i wyciągnęła szyję, żeby móc coś widzieć. Tyle czasu spędzała w zbudowanym ze szkła i stali wieżowcu Międzynarodowego Trybunału Karnego, że często zapominała o romantycznych ideałach, dzięki którym dotarła do tego właśnie punktu w swojej karierze zawodowej. Jednak w tym przepysznym pałacu zbudowanym bez oszczędzenia kosztów przez Andrew Carnegiego, poczuła się jak Kopciuszek. Tyle że bez księcia...

Majordomus w olśniewającej liberii pochylił się w jej stronę, żeby odczytać identyfikator. Miał założony mikrofon, a spiralny kabel ciągnął się do maleńkiej słuchawki w uchu.

– Jest pani z osobą towarzyszącą, madame?

– Nie, jestem sama. – W tej pracy nikt nie miałby czasu na księcia.

– *Madame Sophie Lindstrom-Bellamy* – zapowiedział donośnym głosem – *au Canada et aux Etats-Unis.*

Z Kanady i Stanów Zjednoczonych... Miała podwójne obywatelstwo, bowiem jej matka była Kanadyjką, a ojciec Amerykaninem. Stany Zjednoczone nie były członkiem Trybunału, lecz reszta świata zgadzała się z koniecznością ścigania zbrodniarzy wojennych, więc w tym sądzie Sophie występowała jako obywatelka kanadyjska. Przywołała na usta uśmiech, jakby miała stanąć przed kamerami, i wkroczyła do sali balowej zalanej złotym światłem z żyrandoli i ściennych kinkietów. Powietrze drżało od głosów witających ją gości. Mimo tak ciepłego przyjęcia wiedziała, że spędzi ten wieczór podobnie jak niemal wszystkie najbardziej doniosłe chwile w swoim życiu. Samotnie.

Z wysokim kieliszkiem szampana, który podał jej kelner, przecisnęła się dalej. Nie będzie przecież psuła sobie przyjęcia biadoleniem i uzalaniem się nad sobą. Ostatecznie nie każdego wieczoru spotyka się prawdziwą królową i odbiera odznaczenie od wdzięcznego narodu.

Haga była miastem królewskim, siedzibą holenderskiego rządu, a królowa Beatrycze była niestrudzona w wypełnianiu oficjalnych obowiązków. Wokół brytyjskiej rodziny królewskiej było głośno z powodu różnych skandali, natomiast panująca w Holandii dynastia Orange-Nassau miała monarchinię, która pracowała równie ciężko, jak niejeden pobierający pensję wysoki urzędnik. Agenci ochrony dyskretnie patrolowali obrzeża sali balowej, nieustannie lustrując tłum międzynarodowych gości. Była tam kobieta z głową owiniętą szalem, ubrana w wielopoziomową suknię o intensywnych, jaskrawych kolorach, inna w kimonie, mężczyźni w barwnych afrykańskich koszulach, a także ludzie z Zachodu w eleganckich garniturach i wieczorowych sukniach. Sophie poczuła się pełna energii i życia. Przez chwilę mogła zapomnieć o tym, co dzieje się z jej rodziną. W wykrochmalonych i świeżo wyprasowanych szkolnych mundurkach, z uśmiechami, które odsłaniały szczyty po zgubionych zębach mlecznych, chór dziecięcy śpiewał z zaraźliwą radością. Dźwięczne głosiki wypełniały ogromną neogotycką salę. Program składał

się z międzynarodowej mieszanki. Chór wykonywał tradycyjne pieśni związane ze świętem, a także narodowe piosenki i nuconą gardłowymi głosami rytualną pieśń.

Te wojenne sieroty wciąż jeszcze mogą śpiewać, pomyślała wzruszona Sophie. Żałowała, że nie może każdego z tych dzieci zabrać z sobą do domu. Niektóre z nich rozpoznawała, bo liczną grupą przyszły z kwiatami do zespołu oskarżycieli.

Cały swój czas i uwagę poświęcała walce ze zbrodniami przeciw dzieciom, a cenę za to płaciły jej własne dzieci. Ile przedstawień Maksa i Daisy opuściła z powodu pracy? Czy jej syn i córka kiedykolwiek śpiewali z tak rozradowanymi buziami, czy przeszukiwali spojrzeniem publiczność, a blask w ich oczach gasł, gdy nie mogli odnaleźć mamy? Dobry Boże, ileż by dała, żeby mogli zobaczyć efekty ich poświęcenia. Może wówczas byliby w stanie zrozumieć. Może mogliby jej wybaczyć...

W chórze była dziewczynka z wystającymi kolankami i dużymi białymi zębami, która śpiewała, jakby śpiew był dla niej równie ważny jak oddychanie. Kiedy występ się skończył, Sophie odszukała dziecko, które tak zelektryzowało publiczność.

– Pięknie śpiewasz – powiedziała.

Och, co za uśmiech.

– Dziękuję, madame – odparła dziewczyna i wstydliwie dodała: – Na imię mam Fatou. Pochodzę z wioski Kuumba.

Nie musiała mówić nic więcej. Atak żołnierzy na tę wioskę był bardziej przerażający niż największe wojenne okropności. Wspominając raporty z Kuumby, Sophie poczuła, że znów ogarnia ją fala wściekłości na ludzi, którzy popełnili te straszne zbrodnie na takich dzieciach jak Fatou.

– Jestem szczęśliwa, że jesteś tu z nami – powiedziała – i że jesteś bezpieczna.

– Tak, proszę pani. Dziękuję, proszę pani. – Znowu się uśmiechnęła.

Ten uśmiech odzwierciedlał wszystkie powody, dla których Sophie zajmowała się taką właśnie pracą, dlaczego mieszkała z dala od rodziny i pracowała więcej godzin, niż w rzeczywistości miała doba – a w każdym razie tak często mogło się wydawać.

W tym właśnie momencie przez tłum gości przeleciał szmer. Podobno zaczął padać śnieg.

– Chodź. – Sophie wzięła Fatou za rękę. Poprowadziła ją do wysokiego okna i odsunęła ciężkie aksamitne story. – Popatrz.

Fatou osłoniła rękami oczy i pochyliła się do przodu. Śnieg padał gęsto, zamieniając pałacowe ogrody w cudowną zimową krainę, skąpaną w ciepłym świetle sodowych latarni.

– Nigdy nic takiego nie widziałam. To czary, proszę pani.

Na małym brukowanym dziedzińcu cienie migotały na szybko bielejącej ziemi. Sophie przysunęła się bliżej szyby. Na zewnątrz było cicho i pusto. Tak bardzo chciałyby, żeby Max i Daisy mogli zobaczyć wspaniałość tego wieczoru. Cieszyła się, że przynajmniej ta miła dziewczyna może z nią przeżywać tę chwilę. Odwróciła się do dziecka z uśmiechem.

Jednak Fatou nic nie zauważyła. Wciąż wyglądała przez okno i jak zahipnotyzowana wpatrywała się

w śnieg.

Tytuł oryginału:  
*Snowfall at Willow Lake*

Pierwsze wydanie:  
*MIRA Books, 2008*

Redaktor prowadzący:  
*Grażyna Ordega*

Opracowanie redakcyjne:  
*Władysław Ordega*

Korekta:  
*Małgorzata Narewska, Władysław Ordega*

© 2008 by Susan Wiggs  
© for the Polish edition by Arlekin – Wydawnictwo Harlequin Enterprises sp. z o.o., Warszawa 2010, 2012

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wydanie niniejsze zostało opublikowane w porozumieniu z Harlequin Enterprises II B.V.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.  
Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Harlequin Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN 978-83-238-9968-6

Konwersja do postaci elektronicznej:  
Legimi Sp. z o.o.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

**Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).**

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Bookarnia Online](#).